



KATE MORTON

STRAŽNIK TAJEMNIC

ALBATROS

1

Angielska wieś, dom na pustkowiu, letni dzień na początku lat sześćdziesiątych dwudziestego wieku. Budynek jest skromny: mur pruski, biała farba łuszczy się delikatnie na zachodniej ścianie, a klematis pnie po tynku. Z nadstawek kominowych unosi się para i wystarczy jedno spojrzenie, by wiedzieć, że na płycie kuchennej pyrka w garnku coś smacznego. Mówią o tym również grządki warzywne na tyłach domu, okna dumnie pobłyskujące szybkami w ołowianych ramkach, dach ze starannie uzupełnionymi ubytkami w dachówkach.

Dom otacza typowo wiejski płot, a drewniana furtka odgradza uładzony ogród od łąk po drugiej stronie i rosnącego dalej zagajnika. Tam, w splątanym gąszczu drzew, pluska zwinnie po kamieniach strumień, przemykając pomiędzy światłem słonecznym a cieniem, jak czynił przez stulecia, ale stąd go nie słyszeć. Jest zbyt daleko. Dom stoi na odludziu, na końcu długiego, pylistego podjazdu, niewidocznego z wiejskiej drogi, z którą dzieli nazwę.

Czasem zerwie się lekki wietrzyk, ale poza tym wszystko trwa w bezruchu, jest spokojnie, cicho. Dwie białe obręcze hula-hoop, szaleństwo ostatniego roku, stoją oparte o treliaz obrośnięty glicynią. Pluszowy miś z przepaską na oku, wyrozumiały i pełen godności, stoi na warcie w dogodnym punkcie obserwacyjnym, czyli koszu na klamerki przyczepionym do zielonego wózka na pranie.

Taczka wyładowana doniczkami czeka cierpliwie przy szopie.

Pomimo panującego bezruchu, a może właśnie z jego powodu, całe otoczenie jest naładowane oczekiwaniem, jak scena teatralna tuż przed wyłonieniem się aktorów z kulis. Wszystko jest jeszcze możliwe, los nie został przypieczętowany przez zdarzenia i nagle...

– Laurel! – woła niecierpliwie dziecięcy głos gdzieś w oddali. – Laurel, gdzie jesteś?

Czar prysł. Światła przygasają, kurtyna idzie w górę.

Nie wiadomo skąd pojawia się stadko kur, które zaczynają wydziobywać coś spomiędzy cegieł, którymi wyłożona jest ścieżka, sójka wlecze swój cień przez ogród, traktor na pobliskiej łące z terkotem budzi się do życia. A wysoko ponad tym wszystkim leży sobie na plecach, na podłodze drewnianego domku na drzewie pewna szesnastolatka, która mocno przyciska cytrynową landrynkę językiem do podniebienia i wzdycha.



Może to było okrutne, że pozwalała im wciąż się szukać, ale w tym upale nie mogła zdobyć się na wysiłek konieczny przy zabawie – bądź co bądź dość dziecinnej – zwłaszcza że piastowała w duchu pewien sekret. Zresztą na tym przecież polegał sens zabawy w chowanego, tata zawsze powtarzał, że trzeba grać fair, a one nigdy się nie nauczą, jak nie będą próbować. To nie wina Laurel, że umie wynajdywać lepsze kryjówki. Owszem, są od niej młodsze, ale przecież to nie jakieś maluchy.

Zresztą wcale nie chciała, by ją odnaleziono. Nie dzisiaj. Nie teraz. Chciała tylko tak sobie leżeć i pozwalać, by cienka kretonowa sukienka muskała jej gołe nogi, podczas gdy w głowie krążyły myśli o nim.

Billy.

Przymknęła oczy, a jego imię wypisało się ozdobną kursywą na czarnym tle pod powiekami. Neon, jaskraworóżowy neon. Poczowała mrowienie na skórze i przesunęła landrynkę w ustach tak, że czubek języka trafił w jej wklęsłość.

Billy Baxter.

Sposób, w jaki patrzył na nią ponad czarną oprawką okularów przeciwsłonecznych, ten krzywy uśmiech, ciemne włosy ostrzyżone jak u gwiazdy rock and rolla...

To nastąpiło natychmiast, jak się spodziewała po prawdziwej miłości. Ona i Shirley wysiadły z autobusu sześć sobót wcześniej i ujrzała Billy'ego, który wraz z przyjaciółmi palił papierosa na schodach przed salą taneczną. Ich oczy się spotkały i Laurel pogratulowała sobie, że przeznaczyła weekendowy zarobek na nowe nylonowe pończochy.

– Laurel, no przestań... – To była Iris, której głosik osłabł od upału. – Graj uczciwie...

Laurel zacisnęła mocniej powieki.

Przetańczyli razem całą zabawę. Zespół grał coraz szybciej, włosy Laurel wymknęły się z francuskiego koka, który starannie skopiowała z okładki „Bunty”, stopy ją paliły, ale wciąż tańczyła. Przestała dopiero wtedy, gdy podeszła do niej nadąsana Shirley, i niby jakaś ciotka oświadczyła, że zaraz odchodzi ostatni autobus do domu, o ile Laurel zależy na tym, by wrócić na czas (a ona, Shirley, sądzi, że chyba jest jej wszystko jedno). A potem, gdy koleżanka przytupywała niecierpliwie, a rozplómienna Laurel powiedziała do widzenia, Billy chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie, i coś w głębi Laurel już wiedziało z osłepiającą jasnością, że ta chwila, ta piękna, roziskrzona chwila, czekała na nią przez całe życie...

– Dobra, rób sobie jak chcesz! – Teraz w głosie Iris wyraźnie było słychać rozdrażnienie. – Ale nie miej do mnie pretensji, jak zabraknie dla ciebie tortu.

Słońce prześlizgnęło się już przez zenit i smuga żaru wpadła przez okno domku na drzewie, wypalając na wewnętrznych powiekach Laurel barwę coli o smaku wiśniowym. Usiadła, ale nie zrobiła nic, by opuścić swoją kryjówkę. Pogróżka była celnie wymierzona – wszyscy znali słabość Laurel do biszkoptu królowej Wiktorii w wykonaniu mamy – lecz chybiona. Laurel wiedziała bowiem, że nóż do tortu leży zapomniany na kuchennym stole, gdzie przeoczono

go pośród wcześniejszego zamieszania, gdy rodzina szykowała koszyki piknikowe, a potem wszyscy zgarnęli pledy, musującą lemoniadę, ręczniki, nowe radio tranzystorowe i ruszyli pędem nad strumień. Wiedziała to, ponieważ, gdy zawróciła pod pozorem szukania kryjówki i wślizgnęła się do chłodnego, mrocznego domu po swoją przesyłkę, ujrzała nóż obok misy z owocami, gdzie spoczywał z czerwoną kokardą zawiązaną na ręczce.

Nóż był elementem pewnej tradycji w rodzinie Nicolsonów – przekrajał wszystkie torty urodzinowe, ciasta świąteczne, wypieki szykowane dla poprawienia komuś nastroju – a mama miała zbika na punkcie tradycji.

Tak więc Laurel wiedziała, że ma wolne, dopóki nie wyślą kogoś po ten nóż. A czemu by nie? W takim domu jak ten, gdzie rzadko zdarzały się spokojne chwile, gdzie zawsze ktoś wchodził jednymi drzwiami albo trzaskał drugimi, trwonienie prywatności równało się świętokradztwu.

A zwłaszcza dziś potrzebowała czasu dla siebie.

Paczka nadeszła z ostatnią czwartkową pocztą i szczęśliwym zrządzeniem losu listonosza spotkała Rose, a nie Iris, Daphne czy, nie daj Boże, mama. Laurel od razu wiedziała, od kogo jest ta przesyłka. Jej policzki załały się rumieńcem, ale zdołała wyjąkać coś o Shirley, zespole i pożyczonej płycie. Zresztą szkoda było się wysilać dla Rose, na której uwadze nigdy nie należało polegać, a teraz zdążyła już ją przenieść na motyla siedzącego na płocie.

Później tego wieczoru, gdy wszyscy skupili się przed telewizorem, by oglądać *Juke Box Jury*, a Iris i Daphne porównywały zalety Cliffa Richarda i Adama Faitha, ojciec zaś lamentował nad fałszywym amerykańskim akcentem tego drugiego oraz innymi stratami Imperium Brytyjskiego w szerszym sensie, Laurel udało się wyknąć. Zamknęła zamek w łazience i zsunęła się na podłogę, mocno przyciskając plecy do drzwi.

Drżącymi palcami rozdarła brzeg paczki.

Na jej kolana wypadła cienka książka owinięta w bibułkę. Przeczytała tytuł przez papier – *Urodziny Stanleya* Harolda Pintera – i

dreszcz przeszedł jej po plecach. Nie mogła powstrzymać pisku.

Od tamtej pory spała z tą książką ukrytą pod poszewką poduszki. Niezbyt to było wygodne, ale lubiła trzymać ją w pobliżu. Musiała mieć ją przy sobie. To było ważne.

Laurel wierzyła w to, że są chwile, gdy człowiek staje na rozdrożu, gdy coś nagle nieoczekiwanie się wydarza i zmienia bieg ludzkiego życia. Premiera sztuki Pintera była takim właśnie momentem. Przeczytała o niej w gazecie i nie wiedzieć czemu poczuła, że koniecznie chce ją obejrzeć. Powiedziała rodzicom, że jedzie odwiedzić Shirley, zobowiązała przyjaciółkę do dochowania tajemnicy, a następnie złapała autobus do Cambridge.

To była jej pierwsza samotna wyprawa w życiu i gdy tak siedziała na ciemnej widowni Arts Theatre i patrzyła, jak przyjęcie urodzinowe Stanleya przeradza się w koszmar, doznała uniesienia, jakiego nie doświadczyła nigdy wcześniej. Był to chyba ten rodzaj objawienia, którym napawały się zarumienione panny Buxton w kościele w każdy niedzielny poranek, i choć Laurel podejrzewała, że ich entuzjazm miał więcej wspólnego z nowym młodym proboszczem niż Słowem Bożym. Siedząc na tanim miejscu na widowni, gdy energia dramatu rozgrywającego się na scenie dotarła do jej wnętrza i połączyła się z jej własną, poczuła, jak twarz płonie jej błogością i już wiedziała. Nie była pewna, co dokładnie, ale wiedziała to z niezbitą pewnością: w życiu chodziło o coś więcej, i to coś na nią czeka.

Hołubiła ten sekret, nie bardzo wiedząc, co z nim począć, nie potrafiąc wyjaśnić nikomu, co ją dręczy, aż do tamtego wieczoru, gdy Billy obejmował ją ramieniem, a ona, przyciskając mocno policzek do jego skórzanej kurtki, opowiedziała mu o tym wszystkim...

Laurel wyjęła jego list z książki i ponownie go przeczytała. Był krótki, Billy pisał tylko, że będzie czekał na nią z motocyklem na końcu ulicy, o wpół do trzeciej w sobotę – jest pewne miejsce, które chciałby jej pokazać, ulubiony zakątek na wybrzeżu.

Zerknęła na zegarek. Zostały niecałe dwie godziny.

Pokiwał głową, gdy powiedziała mu o uczuciach, jakie wywołało w niej przedstawienie *Urodzin Stanleya*, a potem zaczął mówić o

Londynie i teatrze, i zespołach, które oglądał w bezimiennych nocnych klubach, a Laurel dostrzegła przeblysłk różnych możliwości. A potem ją pocałował, to był jej pierwszy prawdziwy pocałunek, żarówka w głowie wybuchła i wszystko rozjarzyło się do białości.

Przesunęła się w miejsce, w którym Daphne ustawiła małe lustro, i przyjrzała się czarnym kreskom namalowanym z benedyktyńską cierpliwością w kącikach oczu. Zadowolona, że są równe, przyglądała grzywkę i próbowała wyzbyć się uciążliwego, mdlącego uczucia, że zapomniała o czymś ważnym. Przypomniała sobie o ręczniku kąpielowym, kostium miała już pod sukienką. Powiedziała rodzicom, że pani Hodgkins potrzebuje jej w salonie na kilka dodatkowych godzin, bo trzeba pozamiatać i posprzątać.

Odwrociła się od lusterka i skubnęła skórkę przy paznokciu. Oszukiwanie nie leżało w jej naturze, była porządną dziewczyną, wszyscy tak mówili – nauczyciele, matki koleżanek, pani Hodgkins – ale czy miała jakiś wybór? Jak zdołałaby to wytłumaczyć matce i ojcu?

Wiedziała prawie na pewno, że jej rodzice nigdy nie doświadczyli miłości, choć tak bardzo lubili opowiadać, jak się poznali. Och, kochali się wystarczająco, ale to była bezpieczna miłość starszych ludzi, wyrażana masowaniem ramion i niezliczonymi filiżankami herbaty. Nie – Laurel westchnęła gorąco. Można z pewnością powiedzieć, że żadne z nich nigdy nie doświadczyło innego rodzaju miłości, tej z fajerwerkami, biciem serca i fizycznymi – zarumienieniami.

Ciepły powiew wiatru przyniósł z oddali śmiech matki, a świadomość, jakkolwiek nikła, stania nad przepaścią we własnym życiu, wywołała w Laurel czułość. Kochana mama. To nie jej wina, że miała młodość zmarnowaną przez wojnę i dwadzieścia pięć lat, gdy poznała i poślubiła tatę. Wciąż wykorzystywała swój talent do robienia stateczków z papieru, gdy któreś z nich potrzebowało pocieszenia, a najważniejszym wydarzeniem lata było wygranie nagrody ufundowanej przez wiejski Klub Ogrodników i zamieszczenie jej zdjęcia w gazecie. (Nie tylko lokalnej, bo artykuł został sprzeda-

ny do londyńskiej prasy i ukazał się w dużym wydaniu specjalnym na temat wydarzeń regionalnych; ojciec Shirley, adwokat, z wielką przyjemnością wyciął artykuł z gazety i go przywiózł). Mama udawała zażenowanie i zaprotestowała, gdy tata przyczepił wycinek na nowej lodówce, ale robiła to bez przekonania i nie zdjęła go. Nie, ona była dumna ze swojej superdługiej fasoli wielokwiatowej, bardzo dumna, i właśnie to dawało Laurel do myślenia. Wypluła pokazny kawałek paznokcia. W pewnym trudnym do określenia sensie sądziła, że lepiej jest oszukiwać osobę, która jest dumna z fasolki wielokwiatowej, niż zmuszać ją do akceptowania faktu, że świat się zmienił.

Nie miała zbyt dużego doświadczenia w oszukiwaniu. Członkowie rodziny Laurel byli ze sobą bardzo blisko, co podkreślały wszystkie jej koleżanki. Mówiły to jej w twarz i, jak wiedziała, za plecami. Zdaniem osób postronnych Nicolsonowie popełniali ten wielce podejrzany grzech, że najwyraźniej autentycznie się lubili. Jednak ostatnio sytuacja uległa zmianie. Chociaż Laurel zachowywała wszelkie pozory, uświadamiała sobie dziwny, nieznany dystans. Zmarszczyła lekko brwi, gdy letni wietrzyk zwał jej na twarz kilka pasemek włosów. Wieczorami, kiedy siadywali wokół stołu w jadalni, ojciec rzucał te swoje słodkie, mało zabawne żarciki, a oni i tak się z nich śmiali, czuła się, jakby była na zewnątrz i zaglądała do środka, jakby pozostali siedzieli w wagonie pociągu, ukołysani znanym rodzinnym rytmem, a ona stała samotnie na peronie i patrzyła, jak odjeżdżają.

Tylko że to ona miała ich opuścić, i to wkrótce. Już wszystkiego się dowiedziała: musiała pojechać do Głównej Szkoły Aktorskiej. Zastanawiała się, co powiedzieliby rodzice, gdyby oświadczyła, że chce wyjechać. Żadne z nich nie było szczególnie bywałe w świecie – matka od narodzin Laurel nie wyjeżdżała nawet do Londynu – więc sama sugestia, że najstarsza córka rozważa przeprowadzkę do tego miasta, nie wspominając o podejrzanym życiu w teatrze, mogłaby przyprowadzić ich o apopleksję.

Mokre pranie poruszyło się na sznurze rozpiętym w dole. Jedna

nogawka dzinsów, których tak nie znosiła babcia („Wyglądasz wulgarnie, Laurel – nie ma nic gorszego niż dziewczyna, która się szlaja”), otarła się o drugą, płosząc kurę z jednym skrzydłem, która rozdakala się i zaczęła biegać w kółko. Laurel wsunęła na nos okulary przeciwsłoneczne w białych oprawkach i oparła się o ścianę domku.

Problemem była wojna. Skończyła się szesnaście lat temu – całe jej życie – i świat poszedł do przodu. Teraz wszystko się zmieniło. Maski gazowe, mundury, kartki na żywność i cała reszta pasowały tylko do wielkiego starego kufra w kolorze khaki, który ojciec trzymał na strychu. Niestety niektórzy ludzie chyba nie zdawali sobie z tego sprawy, a konkretnie cała populacja tych, którzy mieli ponad dwadzieścia pięć lat.

Billy powiedział, że Laurel nie zdoła znaleźć słów, dzięki którym oni zrozumieją. Powiedział, że to się nazywa różnica pokoleń i nie ma sensu podejmować prób wyjaśniania czegokolwiek. Bo jest tak, jak mówi Alan Sillitoe w książce, którą Billy zawsze nosił w kieszeni: dorośli nie mają rozumieć swoich dzieci i robisz coś nie tak, jeśli jest inaczej.

W pierwszym odruchu Laurel – dobra dziewczynka, lojalna wobec rodziców – chciała się z nim nie zgodzić, ale zaraz jej przeszło. Zamiast tego przywołała w myślach niedawne wieczory, kiedy to udawało jej się wymknąć siostrze, zanurzyć w balsamiczny mrok, i z radiem ukrytym pod bluzką i mocno bijącym sercem wdrapać do domku na drzewie. Tam, samotnie, szybko nastawiała tranzystor na Radio Luxembourg, kładła się na plecach w ciemności i pozwalała otoczyć się dźwiękiem. Gdy muzyka wsączała się w nieruchome wiejskie powietrze, zasnuwając odwieczny pejzaż najnowszymi piosenkami, Laurel przechodziły ciarki i czuła cudowne odurzenie na myśl, że jest częścią czegoś większego, ogólnoświatowej konspiracji, sekretnej ugrupowania. Nowe pokolenie ludzi, którzy słuchali radia dokładnie w tej samej chwili i rozumieli, że życie, świat, przyszłość gdzieś tam na nich czekają...

Laurel otworzyła oczy i wspomnienie przysło. Jednak pozostał po nim ciepły ślad, dziewczyna przeciągnęła się z zadowoleniem

i zaczęła śledzić lot gawrona przecinającego zarys chmury. Leć, ptaszku, leć. Ona też tak wyfrunie, tylko skończy szkołę. Podążyła wzrokiem za ptakiem i mrugnęła dopiero wtedy, gdy był punkci-kiem na odległym błękanie, bo powiedziała sobie, że jeśli tego do-kona, uda się jej nakłonić rodziców, by ujrzeli sprawy jej oczami, a przyszłość potoczy się gładko.

Oczy zaszyły łzami triumfu i opuściła wzrok na dom: okno swo-jej sypialni, marcinki, które posadziły z mamą nad martwym ciałem biednego kota Constable'a, szpara między cegłami, w której, wstyd powiedzieć, zostawiała liściki dla wrózek.

Miała też mgliste wspomnienia z wcześniejszego okresu, gdy była bardzo mała i zbierała ślimaki na płyciznie na wybrzeżu, każ-dego wieczoru jadła kolację we frontowym pokoju nadmorskiego pensjonatu babci, ale przypominały sen. Dom na wsi był jedynym domem, jaki znała. I chociaż sama nie chciała mieć fotela należą-cego do kompletu, lubiła patrzeć na rodziców, którzy każdego wie-czoru rozsiadali się w swoich, lubiła wiedzieć, że gdy ona zasypia, oni rozmawiają za cienką ścianą, że wystarczy wyciągnąć rękę, by dotknąć którąś z sióstr.

Będzie za nimi tęskniła, kiedy wyjedzie.

Laurel zamruwała. Będzie za nimi tęskniła. Natychmiast to do niej dotarło. Ta pewność osiadła w żołądku jak kamień. Pożyczały jej ciuchy, łamały szminki, rysowały płyty, ale będzie za nimi tęsk-niła. Ten hałas i ciepło, ruch i sprzeczki, niezmierna radość. Były jak miot szczeniąt kłębiących się razem we wspólnej sypialni. Oszala- miały ludzi z zewnątrz i to je bawiło. Były Nicolsonównami, Laurel, Rose, Iris i Daphne, ogrodem córek, jak mawiał z rozrzewnieniem tato, gdy wypił o jedno piwko za dużo. Były dziewczuchami z piekła rodem, jak mawiała babcia po ich wakacyjnych wizytach.

Teraz słyszała z daleka pokrzykiwania i piski, odległe odgłosy lata nad strumieniem. Coś wewnątrz niej ścisnęło się, jakby ktoś po- ciągnął za linę. Mogła je sobie wyobrazić, jakby zeszyły ze scenki na jakimś obrazie. Spódnice zatknięte po bokach w majtki, siostry go- nią się na płyciznie; Rose uciekła na skałki, cienkie kostki poruszają

się w wodzie, gdy szkicuje mokrym patyczkiem, Iris się zamoczyła i jest wściekła z tego powodu, a Daphne, z tymi swoimi skręconymi kędziorami, pokłada się ze śmiechu.

Kraciasty koc piknikowy pewnie jest rozłożony na trawiastym brzegu, a matka stoi w pobliżu, po kolana w wodzie, na zakręcie strumyka, gdzie nurt jest najszybszy, i puszcza zrobiony przed chwilą stateczek. Tata przygląda się z brzegu, ma podwinięte spodnie, papierosa w kąciku ust. Na jego twarzy pojawił się – Laurel mogła wyobrazić to sobie bardzo wyraźnie – ten charakterystyczny, lekko zdeprimowany wyraz, jakby ojciec nie mógł uwierzyć we własne szczęście, dzięki któremu życie przywiodło go w to właśnie miejsce, w tym właśnie czasie.

Przy stopach taty pluszcze się maluch, piszcząc i śmiejąc się, gdy pulchne rączki wyciągają się do stateczka mamy. Ich małe słoneczko...

Maluch. Oczywiście ma imię, mianowicie Gerald, ale nikt go tak nie nazywa. To przecież dorosłe imię, a on jest takim maleństwem. Kończy dziś dwa latka, ale jego buzia jest wciąż okrągła i pełna dołeczków, ma figlarne błyski w oczach i rozkosznie pulchne białe nóżki. Laurel czasem z trudem się powstrzymywała, by ich za mocno nie ścisnąć. Każda z siostr chciała być jego ulubienicą i każda się za taką uważała, ale Laurel wiedziała, że twarzyczka malca najbardziej rozjaśniała się na jej widok.

To nie do pomyślenia, że traci choćby sekundę jego przyjęcia urodzinowego. Co ona sobie myśli, tak długo kryjąc się w domku na drzewie, zwłaszcza że zamierza wymknąć się później z Billym?

Laurel zmarszczyła brwi i odsunęła gorącą falę wyrzutów, którą szybko ochłodziła pewnym postanowieniem. Zaraz to wszystko naprawi: zejdzie na dół, zabierze nóż urodzinowy z kuchennego stołu i zanieśie prosto nad strumień. Będzie wzorową córką, doskonałą starszą siostrą. Jeśli wykona zadanie, zanim zegarek na rękę odmierzy dziesięć minut, zgromadzi dodatkowe punkty na wymaganej tabeli wyników, którą zawsze w środku nosiła. Ciepły wietrzyk owionął jej nagie opalone stopy, gdy stanęła szybko na

pierwszym szczeblu drabinki.



Później Laurel zastanawiała się, czy wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby schodziła trochę wolniej. Może dałoby się zapobiec tej strasznej rzeczy, gdyby wykazała więcej ostrożności. Ale nie wykazała i nie zapobiegła. Spieszyła się i dlatego zawsze będzie w pewnym sensie obwiniała się o to, co nastąpiło potem. Jednak wtedy nie mogła się powstrzymać. O ile wcześniej tak bardzo pragnęła samotności, o tyle teraz poczuła nagłą, zapierającą dech potrzebę bycia w samym centrum wydarzeń.

Ostatnio często tak bywało. Przypominała wiatrowskaz na szczycie dachu w Greenacres, jej emocje zmieniały się nagle, jak za powiewem wiatru. To było dziwne i czasem przerażające, ale też fascynujące. Jak niepewna jazda na rowerze po plaży.

W tym momencie okazało się to również szkodliwe, bo pragnąc jak najszybciej dołączyć do uczestników przyjęcia nad strumieniem, zaczęła kolanem o drewnianą podłogę domku na drzewie. Obtarcie zabolowało i Laurel się skrzywiła, a gdy spojrzała w dół, zobaczyła na kolanie krew, zadziwiająco czerwoną. Zamiast kontynuować schodzenie na dół, wspięła się z powrotem do domku, by obejrzeć skaleczenie.

Kiedy tak siedziała, gapiąc się na krwawiące kolano, przeklinając swój pośpiech i zastanawiając się, czy Billy zauważy brzydki strup oraz jak by go ukryć, dotarło do niej, że od strony zagajnika dobiegają jakieś odgłosy. Zwyczajny szelest, a jednak na tyle wyraźny na tle innych popołudniowych odgłosów, by przyciągnąć jej uwagę. Wyrzała przez okno i zobaczyła Barnaby'ego, który sadził wielkie susy przez wysoką trawę, a jego jedwabiste uszy trzepotały jak skrzydła. Matka była tuż za nim, kroczyła łąką w stronę ogrodu w swojej letniej, własnoręcznie uszytej sukience. Maluch siedział wygodnie na jej biodrze, nóżki wystające ze śpioszków ze względu na upał miał gołe.

Chociaż byli jeszcze daleko, z powodu dziwnych figlów wiatru

Laurel słyszała wyraźnie melodię, którą nuciła mama. Śpiewała tę piosenkę każdemu ze swoich dzieci. Maluch śmiał się radośnie i wołał „jeszcze! jeszcze!” (choć brzmiało to „jesie, jesie!”), a mama wspinała się palcami po jego brzuszku, by połaskotać go pod brodą. Ich wzajemne skupienie na sobie było tak całkowite, pojawienie się na zalanej słońcem łące tak idylliczne, że Laurel czuła zarówno radość wywołaną oglądaniem tej intymnej scenki, jak i zazdrość spowodowaną tym, że jest z niej wyłączona.

Gdy matka otworzyła furtkę i ruszyła w stronę domu, Laurel zrozumiała ze smutkiem, że przyszła po nóż do tortu.

Z każdym jej krokiem malały szanse Laurel na odkupienie. Przygnębiło ją to, a ponury nastrój powstrzymał przed zawołaniem matki albo zejściem na dół i przykuł ją do podłogi domku na drzewie. Siedziała więc tam, napawając się swym smutkiem, podczas gdy matka dotarła do domu i weszła do środka.

Jedna z obręczy hula-hoop upadła cicho na ziemię, a Laurel odebrała to jako gest solidarności. Postanowiła nie ruszać się z miejsca. Niech jeszcze trochę za nią potęsknią, pójdzie nad strumień, gdy wróci jej odpowiedni nastrój. A tymczasem poczyta znów *Urodziny Stanleya*, wyobrażając sobie przyszłość daleko stąd, życie, w którym jest piękna, wyrafinowana, dorosła i bez strupów.



Ten człowiek, kiedy się pojawił, był zaledwie zamazaną smugą na horyzoncie, na najdalszym krańcu podjazdu. Laurel później nie mogła sobie przypomnieć, co skłoniło ją do podniesienia wzroku. Przez jedną straszną chwilę, gdy tylko zauważyła mężczyznę zbliżającego się do domu od tyłu, myślała, że to Billy, który pojawił się wcześniej i właśnie po nią idzie. Dopiero gdy ujrzała wyraźniej sylwetkę przybysza i uświadomiła sobie, że mężczyzna jest ubrany zupełnie inaczej – ciemne spodnie, koszula z podwiniętymi rękawami i czarny staroświecki kapelusz – odetchnęła z ulgą.

Ulgę natychmiast zastąpiła ciekawość. Do ich wiejskiego domu rzadko przybywali goście, szczególnie pieszo, choć w głowie Lau-

rel zaświtało jakieś wspomnienie, kiedy patrzyła na zbliżającego się mężczyznę, dziwne wrażenie *déjà vu*, którego w żaden sposób nie potrafiła umiejscowić. Laurel zapomniała, że się dąsa, i korzystając z luksusowego położenia w kryjówce, zaczęła się gapić.

Oparła łokcie na parapecie, podbródek na rękach. Wyglądał całkiem niezłe jak na starszego mężczyznę, a coś w jego postawie świadczyło o pewności siebie i determinacji. Oto facet, który nie musi się spieszyć. Na pewno nie był to nikt znajomy, żaden z przyjaciół ojca z wioski ani żaden z pracowników rolnych. Zawsze istniała możliwość, że to podróżny, który zabłądził i szuka wskazówek, ale ich dom byłby wątpliwym wyborem, bo znajdował się z dala od drogi. A może to Cygan albo jakiś włóczęga? Jeden z tych mężczyzn, którzy czasami zaglądali do nich w poszukiwaniu szczęścia i byli wdzięczni za każdą pracę, jaką tata im oferował? Albo – Laurel zadrżała na myśl o tym – to mógł być ten człowiek, o którym czytała w lokalnej gazecie i o którym dorośli rozmawiali tak nerwowo, bo nagabywał piknikowiczów i napędzał stracha kobietom oddalającym się samotnie za zakręt strumienia.

Laurel zadrżała, bo sama się przestraszyła, a potem ziewnęła. Mężczyzna nie był groźny, teraz zauważyła jego skórzaną torbę. To sprzedawca, który przyszedł powiedzieć matce o najnowszym komplecie encyklopedii, bez której nie mogli żyć.

Tak więc odwróciła wzrok.



Minęło parę minut, niezbyt wiele, i Laurel usłyszała gardłowe warczenie Barnaby'ego pod drzewem. Podkraśla się do okna, a gdy wyjrzała ostrożnie nad parapetem, zobaczyła spaniela zastygłego w czujnej pozie na ceglanej ścieżce. Stał zwrócony w stronę podjazdu i patrzył na mężczyznę, który właśnie mocował się z żelazną furtką prowadzącą do ogrodu.

– Spokój, Barnaby! – zawołała mama z wnętrza domu. – Już wychodzimy.

Wynurzyła się z ciemnego holu, przystając w otwartych

drzwiach, by wyszeptać coś dziecku do ucha, ucałowała pulchne policzki, a mały zachichotał.

Za domem, obok wybiegu dla kur, skrzypnęła furtka – zawiasy zawsze wymagały oliwienia – a pies znów zawarczał. Zjeżyły mu się włosy na grzbiecie.

– Barnaby, przestań – rzuciła mama. – Co w ciebie wstąpiło?

Mężczyzna wyłonił się zza rogu domu, a ona odwróciła ku niemu głowę. Uśmiech zniknął z jej twarzy.

– Dzień dobry – powiedział nieznajomy, przystając, by przycisnąć chusteczkę kolejno do obu skroni. – Ładną dziś mamy pogodę.

Twarzyczka dziecka rozjaśniła się z zachwytu na widok przybysza i maluch wyciągnął swoje pulchne rączki, rozwierając i zamykając dłonie w geście radosnego powitania. Temu zaproszeniu nikt nie potrafił się oprzeć. Mężczyzna wetknął chusteczkę do kieszeni i zrobił krok do przodu, unosząc lekko dłoń, jakby chciał namięścić malucha.

Matka poruszyła się z przerażającą szybkością. Zagarnęła dziecko, przyciskając je do piersi, a potem posadziła obcesowo na ziemi za sobą. Nagie nóżki zetknęły się ze żwirem, a dla dziecka, które znało tylko czułość i miłość, był to zbyt wielki szok. Przestraszony chłopczyk zaczął płakać.

Laurel ścisnęło się serce, ale czuła się jak zamrożona, nie była w stanie się ruszyć. Zjeżyły się jej włoski na karku. Patrzyła na twarz matki, na której pojawił się wyraz, jakiego Laurel nigdy wcześniej nie widziała. Uświadomiła sobie, że to strach. Mama się bała.

Efekt był porażający. Wszystkie pewniki obecne w życiu Laurel zmieniły się w dym i uleciały. Ich miejsce zajęła zimna trwoga.

– Witaj, Dorothy – powiedział mężczyzna. – Dawnośmy się nie widzieli.

Znał imię mamy. A więc to nie był nieznajomy.

Odezwał się znowu, lecz zbyt cicho, by Laurel mogła go usłyszeć, a matka lekko mu przytaknęła. Potem słuchała dalej, przechylając głowę na jedną stronę. Jej twarz uniosła się do słońca, a oczy zamknęły tylko na jedną sekundę.

To, co nastąpiło, stało się szybko.

Laurel na zawsze zapamięta ten płynny srebrzysty błysk, odbicie słońca na metalowym ostrzu. Ta chwila była piękna.

Potem nóż opadł w dół, ten nóż przeznaczony na specjalne okazje, i zanurzył się głęboko w piersi mężczyzny. Czas zwolnił, a następnie przyspieszył. Mężczyzna krzyknął, a jego twarz wykrzywiła się ze zdziwienia, bólu i przerażenia. Laurel patrzyła na jego ręce, które zbliżyły się do kościanej rączki noża, w miejscu gdzie krew plamiła koszulę. Widziała, jak mężczyzna pada na ziemię, a ciepły wietrzyk wlece po ziemi jego kapelusz.

Pies głośno szczekał, dziecko siedzące na żwirze zanosilo się płaczem, twarzyczkę miało czerwoną i lśniącą od łez, jego małe serduszko pękało z żalu, ale do Laurel ledwie docierały te odgłosy. Słyszała je poprzez galop własnej pulsującej krwi, charkot własnego urywanego oddechu.

Nóż tkwił nienaruszony w piersi mężczyzny, a końcówka wstążki opadła przy kamieniach odgradzających klomb. To była ostatnia rzecz, jaką widziała Laurel, zanim przed jej oczami pokazały się błyskające gwiazdki, a potem wszystko zalała czerń.

2

Suffolk, 2011

W Suffolk padał deszcz. W jej wspomnieniach z dzieciństwa nigdy nie padało. Szpital był po drugiej stronie miasta, a samochód włókł się wolno po usianej kałużami High Street, aż wreszcie skręcił na podjazd i się zatrzymał. Laurel wyjęła puderniczkę, otworzyła ją, by przejrzeć się w lusterku, i podciągnęła skórę jednego policzka do góry, patrząc spokojnie, jak zmarszczki zbierają się, a potem opadają, gdy je uwalnia. Powtórzyła to samo po drugiej stronie. Ludzie uwielbiali jej zmarszczki. Tak mówiła jej agentka, rozpływali się nad nimi dyrektorzy castingu, makijażystki nuciły o nich z ukontentowaniem, wymachując swoimi pędzlami i epatując młodością. Przed paroma miesiącami jedna z internetowych gazet rozpisała ankietę, zachęcając czytelników, by głosowali na „Ulubioną twarz kraju” i Laurel znalazła się na drugim miejscu. Jej zmarszczki, mówiono, sprawiają, że ludzie czują się bezpiecznie.

No i bardzo dobrze. Jednak ona czuła się przez nie staro. Pomyślała, że przecież jest stara, i zatrzasnęła puderniczkę. I to nie stara była pani Robinson. Minęło już dwadzieścia pięć lat, od kiedy grała w *Absolwencie* w Teatrze Narodowym. Jak to się stało? Ktoś przyspieszył cholerny zegar, kiedy nie patrzyła, ot co.

Kierowca otworzył drzwi i odprowadził ją do wejścia pod wielkim czarnym parasolem.

– Dziękuję, Mark – powiedziała, gdy stanęła pod markizą. –

Czy znasz adres, spod którego masz mnie odebrać w piątek?

Postawił jej małą walizkę i strząsnął parasol.

– Dom wiejski po drugiej stronie miasta, wąska droga, podjazd na samym końcu. Czy godzina druga nadal pani odpowiada?

Powiedziała, że tak, a on skinął głową i szybko podszedł w deszczu do drzwi po stronie kierowcy. Samochód ruszył, a ona patrzyła, jak odjeżdża, i zapragnęła nagle przyjemnej monotonii długiej podróży w ciepłym aucie mknącym gdzieś po mokrej autostradzie. Pojechać gdziekolwiek, byle nie być tutaj.

Laurel zmierzyła wzrokiem drzwi, ale nie weszła do środka. Zamiast tego wyjęła papierosy, zapaliła jednego i zaciągnęła się z łapczywością, która wykluczała dostojność. Miała za sobą okropną noc. Śniła jej się matka, to miejsce, siostry, gdy były dziećmi, Gerry jako chłopczyk. Mały poważny chłopiec, który trzyma własnoręcznie wykonany blaszany prom kosmiczny i mówi jej, że kiedyś wynajdzie pojazd do podróży w czasie i użyje go, by wrócić i wszystko naprawić. Czyli co? – spytała we śnie. No jak to, oczywiście to wszystko, co poszło źle – może z nim pojechać, jeśli chce.

Chciałaby.

Drzwi szpitala otworzyły się ze świstem i ze środka wyskoczyły dwie pielęgniarki. Jedna z nich spojrzała na Laurel i jej oczy rozszerzyły się, gdy ją rozpoznała. Laurel skinęła głową w formie powitania, rzuciła niedopałek, a pielęgniarka nachyliła się, szepcząc coś do ucha koleżanki.



Rose czekała przy rzędzie krzeseł w holu i przez krótką chwilę Laurel patrzyła na nią jak nieznajoma. Siostra miała na sobie fioletową, robioną na szydełku narzutkę, przytrzymywaną z przodu przez różową kokardę, a jej niesforne włosy, teraz srebrne, były splecione w luźny warkocz przerzucony przez ramię. Laurel poczuła ukłucie nieznośnego wzruszenia na widok plastikowego zacisku od torebki na chleb, który przytrzymywał końcówkę warkocza siostry.

– Rosie – powiedziała, skrywając uczucia za fasadą jowialnej

serdeczności i trochę siebie za to nienawidząc. – Boże, całe wieki się nie widziałyśmy. Wciąż się mijamy.

Uściskały się, a Laurel zaskoczył zapach lawendy, znajomy, ale zupełnie nie na miejscu. Pasował do letnich wakacyjnych popołudni w pensjonacie Błękit Morza należącym do babci Nicolson, a nie do jej młodszej siostry.

– Tak się cieszę, że dałaś radę przyjechać – powiedziała Rose, ściskając ręce Laurel, zanim powiodła ją korytarzem.

– Nie mogłabym opuścić takiej uroczystości.

– Oczywiście.

– Przyjechałabym wcześniej, gdyby nie ten wywiad.

– Wiem.

– I zostałabym na dłużej, gdyby nie próby. Za dwa tygodnie ruszają zdjęcia do filmu.

– Wiem. – Rose jeszcze mocniej ścisnęła rękę Laurel, jakby dla położenia nacisku. – Mama będzie zachwycona, że w ogóle się zjawiłaś. Jest z ciebie taka dumna, Lol. Jak my wszyscy.

Zachwyty członków rodziny wprawiają raczej w zakłopotanie, więc Laurel zignorowała te słowa.

– A co z resztą?

– Jeszcze nie przyjechali. Iris utknęła w korkach, a Daphne przyleci po południu. Przyjedzie do domu prosto z lotniska. Zadzwoń z drogi.

– A Gerry? Jaki jest przewidywany czas jego przybycia?

To był żart i nawet Rose, ta miła Nicolsonówna, jedyna, która nie drażniła się ot tak dla zasady, nie mogła powstrzymać się od chichotu. Ich brat potrafił konstruować kalendarze przewidziane na kosmiczny dystans, by obliczyć poczynania odległych galaktyk, ale gdy prosiło się go, by ustalił czas swego przyjazdu, był skołowany.

Skręciły za róg i ujrzały drzwi z wizytówką „Dorothy Nicolson”. Rose sięgnęła do klamki, po czym się zawahała.

– Muszę cię ostrzec, Lol – powiedziała. – Mama bardzo się posunęła od czasu twojej ostatniej wizyty. Miewa lepsze i gorsze momenty. Przez chwilę jest taka jak dawniej, a zaraz potem... – Usta

Rose zadrżały, chwyciła długi sznur swoich koralii. Dalej mówiła ściszym głosem. – Czasem ma mętlik w głowie, Lol, bywa przybita, mówi różne rzeczy dotyczące przeszłości, które nie zawsze rozumiem. Pielęgniarki twierdzą, że to nic nie znaczy, że zdarza się często, gdy ludzie są w mamy stanie. Dają jej wtedy tabletki, które ją uspokajają, ale jest po nich półprzytomna. Dziś nie oczekiwałabym zbyt wiele.

Laurel skinęła głową. Gdy w zeszłym tygodniu dzwoniła, by dowiedzieć się o stan matki, lekarz powiedział jej mniej więcej to samo. Wygłosił litanię nużących eufemizmów – koniec wyścigu, czas, by odpowiedzieć na ostateczne wezwanie, długi sen – w dodatku tak przesłodzonym głosem, że Laurel nie mogła się powstrzymać. „Chce pan powiedzieć, doktorze, że moja matka umiera?”, spytała królewskim tonem, dla samej satysfakcji usłyszenia, jak lekarz się krztusi. Nagroda była słodka, lecz cieszyła się nią krótko, tylko do chwili, gdy udzielił odpowiedzi.

Tak.

Najbardziej zdradliwe ze słów.

Rose pchnęła drzwi.

– Patrz, kogo znalazłam, mamusiu – powiedziała, a Laurel przyłapała się na tym, że wstrzymuje oddech.



W dzieciństwie Laurel bała się różnych rzeczy. Ciemności, zombie, dziwnych mężczyzn, którzy w strasznych opowieściach babci Nicolson czyhali za rogiem na małe dziewczynki i robili im niewyobrażalne rzeczy. (Jakie rzeczy? Nie-wy-o-bra-ża-l-ne. Zawsze tak mówiła, a groźba była tym bardziej przerażająca z powodu braku szczegółów, mglistej sugestii na temat tytoniu, potu i włosów w dziwnych miejscach). Babcia była tak przekonująca, że Laurel wiedziała, iż prędzej czy później ta posępna przepowiednia się ziści.

Czasami jej najgorsze lęki się kumulowały i budziła się z krzykiem w nocy, bo na przykład zombie z ciemnej szafy podglądał ją przez dziurkę od klucza, czekając na odpowiedni moment, by

wprowadzić w czyn swe straszne zamiary.

– Cicho, ptaszku – uspokajała ją pewnego razu matka. – To tylko sen. Musisz nauczyć się odróżniać rzeczy prawdziwe od wymyślonych. To nie zawsze jest łatwe, ja sama bardzo długo się tego uczyłam. Za długo. – Potem usadowiła się przy Laurel w łóżku i spytała: – Opowiedzieć ci historię o dziewczynce, która uciekła z domu i została cyrkówką?

Trudno uwierzyć, że kobieta, której obecność gromiła wszelkie nocne koszmary, była tą samą bladą istotą przykutą do szpitalnego łóżka. Laurel sądziła, że jest na to przygotowana. Przeżyła śmierć kilku przyjaciół, wiedziała, jak wygląda jej nadejście, dostała nagrodę Brytyjskiej Akademii Sztuk Filmowych i Telewizyjnych za rolę kobiety w ostatnim stadium raka. Ale to było co innego. To była mama. Laurel zapragnęła odwrócić się i uciec.

Jednak tego nie zrobiła. Rose stojąca obok półki z książkami skinęła głową dla dodania jej otuchy, a Laurel weszła w rolę oddanej córki składającej wizytę. Podeszła szybko do matki i ujęła jej wiotką dłoń.

– Cześć – powiedziała. – Witaj, kochana.

Dorothy zatrzepotała powiekami i jej oczy na chwilę się otworzyły, a potem znów zamknęły. Oddychała nadal słabo i rytmicznie, gdy Laurel składała pocałunki na obu przypominających papier policzkach.

– Coś ci przywiozłam. Nie wytrzymam z tym do jutra. – Odłożyła swoje rzeczy i wyciągnęła mały pakunek z torebki. Zrobiła konwencjonalną pauzę, a potem zaczęła odpakowywać prezent. – To szczotka do włosów – ciągnęła, obracając w palcach srebrny przedmiot. – Ma bardzo miłe włosie, chyba z dzika. Znalazłam ją w antykwariacie w Knightsbridge. Poprosiłam, by wygrawerowano na niej twoje inicjały. Chcesz, bym cię uczesała?

Raczej nie oczekiwała odpowiedzi, i żadnej nie otrzymała. Laurel lekko przesunęła szczotką po delikatnych białych pasmach, które tworzyły wokół twarzy matki koronę spoczywającą na poduszce. Te włosy kiedyś były grube, ciemnobrązowe, a teraz jakby rozply-

wały się w powietrzu.

– Proszę – powiedziała, kładąc szczotkę na półce, tak by światło padło na ozdobne D. – Proszę bardzo.

Rose najwidoczniej była zadowolona, bo podała jej album, który zdjęła z półki, i gestem pokazała, że idzie na korytarz, by przygotować herbatę.

W rodzinie każdy miał jakąś rolę, taka była rola Rose, a jej inna. Laurel usadowiła się w jakimś chyba ortopedycznym fotelu stojącym u wezłowania matki i ostrożnie otworzyła stary album. Pierwsza fotografia była czarno-biała, pokryta ciemnymi punkcikami zasnuwającymi całą powierzchnię. Wyłaniała się spod nich młoda kobieta z włosami przewiązanymi chustką, uwieczniona w pozie zaskoczenia. Odrzuwając oczy od tego, czym się akurat zajmowała, podniosła rękę, jakby chcąc odgonić fotografa. Uśmiechała się lekko, z mieszaniną rozdrażnienia i rozbawienia, jej usta zastygły, wypowiadając jakieś zapomniane słowa. Laurel zawsze lubiła myśleć, że to pewnie był jakiś żart, dowcipna uwaga rzucona do osoby za obiektywem. Prawdopodobnie był to jeden z licznych gości babci: jakiś komiwojażer, samotny urlopowicz, cichy urzędnik w wypastowanych butach, przeczekujący wojnę na bezpiecznej posiadzie. Za kobietą można było dostrzec linię spokojnego morza, jeśli wiedziało się, że ono tam jest.

Laurel przytrzymała poziomo album nad nieruchomym ciałem matki i zaczęła:

– A więc to ty, mamó, w pensjonacie babci Nicolson. Jest rok czterdziesty czwarty i wojna ma się ku końcowi. Syn pani Nicolson jeszcze nie wrócił do domu, ale wkrótce się zjawi. Za niecały miesiąc pani Nicolson wyśle cię do miasteczka z kartkami na żywność, a kiedy wrócisz z zakupami, przy stole kuchennym zastaniesz żołnierza, mężczyznę, którego nigdy wcześniej nie spotkałaś, ale którego rozpoznałaś ze zdjęcia stojącego w ramce na kominku. W chwili waszego spotkania jest starszy niż na zdjęciu i smutniejszy, ale ubrany tak samo, w mundur w kolorze khaki, uśmiecha się do ciebie, a ty od razu wiesz, że jest tym, na którego czekałaś.